

PASKUDA MOJEGO MIASTA

Panel dyskusyjny, 15 maja 2008 roku

GOŚCIE PANELU:

Dobrosław Bagiński (artysta, rzeźbiarz, nauczyciel wychowania plastycznego na UMCS)

Małgorzata Bielecka-Holda (red. naczelna „Gazety w Lublinie”)

Elżbieta Dymna (Warszawa, Stowarzyszenie MiastoMojeAwNim.pl)

Andrzej Molik (dziennikarz „Kurier Lubelski”)

Marcin Skrzypek (Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”)

Jacek Zalewski (filozof)

Moderator panelu: **Janusz Dołęga** (Forum Rozwoju Lublina).

Elżbieta Dymna jest gościem specjalnym panelu. O swoim stowarzyszenie MiastoMojeAwNim.pl pisze: „Powstało ono w proteście przeciw degradacji estetycznej krajobrazu Polski. Uważamy, że głównym problemem jest postępujące zawłaszczanie przestrzeni publicznej przez wszelkiego typu przekazy reklamowe. Naszym głównym celem jest doprowadzenie do uchwalenia przez sejm RP ustawy o estetyce przestrzeni publicznej, na podobieństwo rozwiązań prawnych funkcjonujących w krajach Unii Europejskiej”.

ZAPIS SPOTKANIA:

Poniższy zapis zawiera jedynie wypowiedzi panelistów, bez dalszej dyskusji.

Marcin Skrzypek: Nasza przestrzeń to nasze lustro, nasz autoportret. Stan otoczenia jest odzwierciedleniem tego, co jako społeczność lokalna mamy w swoim wnętrzu – tego, na co zwracamy uwagę, co cenimy, jakie mamy ambicje, jak się do siebie odnosimy i jak ze sobą rozmawiamy.

Ta indywidualna wrażliwość i kultura każdego z nas, dodana do wrażliwości i kultury pozostałych mieszkańców, przekłada się – poprzez długi łańcuch przyczynowo-skutkowy – na jakość przestrzeni. Nawet jeżeli ostateczne decyzje podejmują ludzie, których nie znamy, to i tak reprezentują one ogólny poziom całej społeczności. Sami to potwierdzamy, kiedy widząc jakąś brzydotę wokół siebie, mówimy, że „coś takiego nie byłoby możliwe np. w Poznaniu, Wrocławiu czy Gdańsku”. Dlaczego? Właśnie ze względu na ten ogólny społeczny poziom kultury przestrzeni, czyli kultury, która ujawnia się w jakości zagospodarowania naszego otoczenia.

Dlatego paskuda mojego miasta jest moją – naszą – osobistą paskudą. I jeżeli chcemy coś tu zmieniać, to powinniśmy mówić o nas, a nie o samej przestrzeni. Jediną drogą zmiany przestrzeni jest zmiana w nas samych, czyli – edukacja, edukacja i jeszcze raz edukacja. Edukacja czyli co? To jest według mnie kluczowy kierunek dalszych rozważań o przyszłości Lublina: jak edukować

mieszkańców na temat miejsca, w którym żyją. I w tym kontekście widzę naszą rozmowę o „paskudzie”.

Konkretne przykłady paskudy Lublina to temat tak szeroki, że bardzo łatwo popaść w zrzędlawy ton i rozmienić dyskusję na drobne. Dlatego proponuję skoncentrować się na dwóch zagadnieniach, które moim zdaniem w sposób najbardziej bolesny godzą w nas jako mieszkańców:

- obecność i jakość przestrzeni publicznych,
- zabór przestrzeni przez samochody.

Te zagadnienia są ze sobą powiązane, ale mają też swoje indywidualne rysy. Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że przestrzeni publicznych się nie projektuje, o czym przekonałem się, oglądając propozycje planu zagospodarowania Sławina. Mam wrażenie, że dla planistów głównym problemem jest to, aby przestali im zawracać głowę indywidualni właściciele działek. Dla lubelskich planistów przestrzeń publiczna to przede wszystkim koszt dla miasta, którego można uniknąć. Wystarczy porównać, w jaki sposób planowano przestrzeń przed wojną i jak się to robi teraz.

Jest to przedwojenny plan Żoliborza, który pokazuje troskę planistów o to, aby przestrzeń składała się z ulic i placów. Taka struktura uczytelnia przestrzeń i pozwala mieszkańcom na identyfikowanie się z nią.

A to jest zdjęcie sprzed kilku lat osiedla przy ulicy Willowej. Zachęcam do samodzielnego obejrzenia tego miejsca. Jest ono skupiskiem zupełnie ze sobą niepołączonych inwestycji deweloperskich.

Oczywiście winny jest brak planu zagospodarowania terenu, czyli brak poczucia odpowiedzialności za przestrzeń miasta. W efekcie powstaje dzika urbanistyka ograniczająca się dosłownie do granicy danej działki budowlanej.

Potrzeba miejsc publicznych jednak istnieje. Wskaźnikiem, gdzie takie miejsca tworzą się spontanicznie jest wysyp reklam. Są to wszelkie skrzyżowania ulic, ronda i rozjazdy, czyli miejsca, gdzie duża ilość osób przebywa na tyle długo – np. stojąc w korkach – aby zrozumieć reklamowy przekaz. To reklamy tak naprawdę nas łączą i decydują o publicznym charakterze jakiegoś miejsca.

Rzeźba publiczna z ul. Filaretów, na której publicznym charakterze pasożytują dwa billboardy i który to charakter psuje wcinający się w przedpole parking.

Oczywiście, taki charakter przestrzeni publicznych świadczy o degeneracji statusu miejsca publicznego, właściwie o całkowitym upadku odczuwania wspólnej przestrzeni. W problemie reklam specjalizują się inni uczestnicy panelu, więc skupię się na samochodach.

Obserwując miasto, mam wrażenie, że to auta, a nie ludzie są prawdziwymi mieszkańcami miasta. Człowiek zaraz za progiem wchodzi na parking, w przestrzeń dzieloną z autami, a więc emanującą hałasem, spalinami i ciągłym poczuciem zagrożenia. Tak wygląda przestrzeń za progiem wielu miejsc, gdzie przewija się dużo osób, miejsc takich jak supermarkety czy nawet kościoły.

Klasyczny przykład, to Centrum Zana, cmentarzysko dobrych pomysłów. Założenie komunikacyjne tego miejsca jest bliskie całkowitemu wyeliminowaniu pieszych jako uczestników ruchu. Są oni zmuszeni lawirować między autami i przedeptywać ścieżki.

Wśród urbanistów znane jest prawo, że samochodom nie można ustępować, ponieważ wykorzystają one każdą wolną przestrzeń. Dlatego usprawnienie ich ruchu na dłuższą metę nie zdaje egzaminu. Trzeba go ograniczać. Nie da się jednak tego zrobić bez działań usprawniających i uprzyjemniających ruch pieszych i rowerzystów. Kierowcy nie będą protestować, kiedy zobaczą, że przejście nawet paruset metrów z parkingu do celu podróży nie jest problemem. Niestety dziś jest.

Podobnie jak z samochodami, jest z reklamami. Wcisną się wszędzie. Ale tu postawiłbym twarde weto: zero tolerancji. A jeżeli już mamy się sprzedawać, to drogo: jeden billboard za jedną rzeźbę publiczną. Jedna zepsuta oś widokowa za jedną zadbaną.

Jacek Zalewski: Cieszę się, że możemy otwarcie dyskutować na temat brzydoty Lublina. Świadczy to, że Lublin zaczyna dostrzegać swoje błędy.

Wyróżniłbym dwa rodzaje brzydoty w Lublinie: pierwszy – ten, który należy bezwzględnie wyeliminować i tu nie ma dyskusji, dlaczego, tylko jak. Dla mnie taką brzydotę stanowi większość billboardów, wszystkie plakaty wyborcze, itp. Kusi mnie, by dodać tu jeszcze kilka osiedli lubelskich, które są po prostu brzydkie i tego rodzaju brzydoty nie da się w żaden sposób upiększyć. A drugi rodzaj brzydoty – i ona domaga się refleksji – to brzydota, która coś mówi o nas, o naszym mieście, o naszej miejskiej tożsamości.

Przyjrzyjmy się osiedlu Słowackiego, które zostało zaprojektowane przez bardzo znanego i wybitnego architekta Oskara Hansena. Uszanował on naturalny pejzaż przestrzeni, bardzo dobrze wykorzystał tamtejsze pagórki, wąwozy. I w tę naturalną tkanekę pejzażową wbił klocki mieszkaniowe, które są zwyczajnie brzydkie.

Odwrotnie jest np. na Czechowie. Pejzaż Czechowa został zrównany z ziemią. Na tym płaskim obszarze umieszczono budynki mieszkalne, handlowe, etc, etc. Mamy więc dwa przykłady różnego podejścia do przestrzeni: z jednej strony obserwujemy szacunek do przestrzeni i podporządkowanie architektury warunkom naturalnym, a z drugiej strony – podejście instrumentalne, aroganckie.

Gdyby sobie wyobrazić, że Czechów zostaje wykluczony z naszej przestrzeni miejskiej, to sądzę, że nasza miejska tożsamość niewiele by straciła. Natomiast spróbujmy wykluczyć LSM – okaże się, że jest on bardzo trwale wpisany w naszą miejską tożsamość. O ile Czechów był brzydki od początku i teraz z wielkim trudem pracuje nad tym, żeby się upiększyć, o tyle myślę, że LSM jest w swojej brzydocie piękny i dlatego warty ochrony. Jakiś czas temu pojawił się problem z obiektami handlowymi na osiedlu Słowackiego. Wówczas cały artystyczny, kulturalny, świadomy Lublin stanął w obronie dzieła małżeństwa Hansenów. I słusznie. Bo uważam, że choć te budynki są brzydkie, zbudowane z materiałów niskiej jakości, to jednak są częścią pewnego harmonijnego układu, któremu należy się szacunek i ochrona. Lublin pokazał dojrzałość. Pokazał, że nie tyle ceni piękno, co tożsamość.

Miasto, które jest nastawione wyłącznie na rozwój, któremu zależy na swoim statusie, na podnoszeniu go i hołubieniu, to miasto ekstatyczne (to pojęcie wprowadzone przez Ewę Rewers). Przeciwnością miasta ekstatycznego będzie miasto ironiczne, czyli takie, które osiągnęło już pewien stopień rozwoju, jest w stanie spojrzeć na swój status i poddać go krytycznej refleksji. Cechami miasta ekstatycznego będą: pęd, szybkość, brak poczucia humoru, skłonność do dużych przestrzeni i do światła. Lublin ma aspiracje do bycia miastem ekstatycznym, co można zauważyć przechodząc wieczorem przez Śródmieście i Stare Miasto. Wszystko tonie wieczorem w morzu światła.

Przeciwnością miasta ekstatycznego jest miasto ironiczne. Cechuje się ono pewnym wyhamowaniem energii, poczuciem humoru, dystansem, ciemnością, półcieniem. Miasto ironiczne ceni sobie niedopowiedzenie, niejasność, dwuznaczność. Lublin w moim przekonaniu nie jest miastem ironicznym. To widać również w architekturze.

Są miasta, które potrafią podejść z dystansem do własnej architektury. Np. w centrum Warszawy, wśród majestatycznych wieżowców, pojawiły się Złote Tarasy – czy to jest kicz, czy nie, to już inna sprawa. Chodzi o to, że rajcom miejskim przyszedł do głowy pomysł, żeby coś tak koślawego wstawić w środku miasta. W Lublinie by to nie przeszło ze względu na to, co my mamy w głowach. Myślę, że najbardziej ekstrawaganckim architektonicznie obiektem w Lublinie jest Teatr w Budowie, który był jest i pewnie jeszcze długo będzie w budowie. A kiedy już przestanie być w budowie, to podejrzewam, że nie zostanie w tym budynku żaden ślad tej wielodekadowej egzystencji.

Andrzej Molik: Niedawno powieszono tam reklamę Teatru Muzycznego i na tej ruinie jest napis: „Straszny dwór”.

Jacek Zalewski: Ale to już niezamierzone poczucie humoru. O ile miasto ekstatyczne oszalałami, o tyle miasto ironiczne daje do myślenia. Miasto ekstatyczne jest pełne powagi – a od powagi do śmieszności jest bardzo blisko.

Andrzej Molik: A czy twierdzenie, że Lublin idzie w stronę ekstatyczności, to nie jest leczenie kompleksów prowincji?

Jacek Zalewski: Sądzę, że każde miasto jest na początku ekstatyczne. Ono musi się rozwijać, musi pączkować i w tym okresie cechuje je śmiertelna powaga. Kiedy miasto zyskuje (albo nie) samoświadomość, jest w stanie odnieść się krytycznie do swoich osiągnięć. Lublin jest miastem śmiertelnie poważnym – jego architektura jest nudna, sztamkowa i dość pretensjonalna. Jedyną ekstrawagancją w Śródmieściu jest dla mnie – naprawdę – Teatr w Budowie. Marzy mi się, by, kiedy budynek zostanie już oddany do użytku w całości, zostało kilka wystających drutów albo fragment zachlapanej cementem ściany – żeby było widać, że ma on swoją historię. I oczywiście powinna zostać nazwa „Teatr w Budowie” lub podobnie – coś, co by świadczyło o tym, że ten budynek nie wziął się znikąd.

Dlaczego dla mnie Lublin jest miastem w ekstazie? – w tym mieście najbardziej brakuje mi ławek. Można usiąść – pomijając deptak i kawiarnie – przy fontannie na placu Litewskim, przy fontannie z rzeźbą Tomka Kawiaka i przy fontannie z miniaturową wieżą ciśnień. Ewentualnie można pójść do parku. I to wszystko. Ale z drugiej strony to zrozumiałe: skoro Lublin jest miastem ekstatycznym, w ciągłym pędzie – to po co siedzieć?

Janusz Dołęga: Panie profesorze, czy Panu Lublin się podoba? Czy Lublin jest piękny?

Dobrosław Bagiński: Jeśli odpowiem: tak, to będzie wyczerpująca odpowiedź?

Janusz Dołęga: Nie.

Dobrosław Bagiński: Lublin bardzo mi się podoba. Po pierwsze, jest miastem pięknym w sensie substancji miejskiej. Jest przepięknym miastem i każdy, kto tu przyjeżdża jest pod ogromnym wrażeniem. Jest przepięknym miastem w sensie zachowania skali i dlatego wybrałem to miasto do życia. Skala Lublina, skala domów jest tą skalą, którą akceptuję. Na Krakowskim Przedmieściu, na ul. Narutowicza, na której się wychowałem, czuję się w skali właściwej dla człowieka. I to jest

piękne. Nie będę wymieniał poszczególnych przepięknych obiektów i zaułków. Lublin jest miastem przepięknym.

Lublin jest również miastem systematycznie oszpecanym. Ale siła jego piękna jest tak ogromna, że pomimo nadludzkich wysiłków w celu oszpecenia go, ludzie, którzy tu przyjeżdżają, są zachwyceni. A dlaczego są zachwyceni? – bo to, co brzydkie w Lublinie, to jest dokładnie to samo, co jest brzydkie w całej Polsce i we wszystkich prawie krajach postkomunistycznych.

Polska stała się „bazarem Europy”. Stadion w Warszawie to tylko soczewka tego bazaru. Poetyka bazaru w Polsce jest czymś koszmarnym. I to obserwujemy też w Lublinie. Jeśli ludzie przyjeżdżają do nas z Wrocławia, Krakowa czy Gdańska, to wiedzą, że ta substancja brzydoty nie należy do Lublina, ale do Polski. Widzą to jako coś, co widzą również u siebie. Natomiast niektórzy postanawiają zajrzeć pod tą brzydotę i wtedy mogą się rozczulić.

My, jako Polacy, mamy pewne wady ukształtowane historycznie. Np. Polacy rozmawiają głośno w restauracji, tzn. nie interesuje ich, że może to przeszkadzać komuś przy sąsiednim stoliku. Chcę podać przykład z Austro-Węgier (nie z samej Austrii, bo to sięga czasów cesarskich). Na tamtym terenie, na wsiach, wszystko jest ładniutkie, jednolite. Jest to ojczyzna pojęcia „przestrzeni publicznej”. Otóż jeśli tam ktoś chciał zbudować dom, to zgodnie z zarządzeniem cesarza, musiał mieć zgodę sąsiada. A sąsiadowi mogło przeszkadzać wszystko. Jedynym argumentem było zapewnienie, że budujący wzniesie dom taki sam jak dom sąsiada. I tym sposobem bez żadnych komisji, zatwierdzeń mamy jednorodną architekturę na prowincji w Austrii, Szwajcarii.

To się przeniosło do miast. Architekci w Szwajcarii muszą się wpisać w kontekst zarówno przestrzenny, jak i kulturowy. Niedopuszczalne jest, żeby ktoś powiesił reklamę naprzeciwko mojego domu w mieście, ponieważ ja muszę na nią patrzeć. To, co widzimy, nasz widok należy tam do sfery publicznej. A w Polsce ugruntowało się przekonanie, że na moim terenie mam prawo robić co chcę – to, że mnie tak widzą, to jest problem tych, którzy mnie widzą, a nie mój.

Wydaje mi się, że w Polsce przechodzimy jak dyfteryt chorobę „bazar”. Rozumiem, że są potrzeby rozwojowe, to co pan Zalewski ładnie nazywa „ekstazą”. Pewna ekspansja gospodarcza w mieście wymaga tego. Ale ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że jedna reklama zakrzykuje wizualnie drugą i już właściwie nic nie słychać.

Elżbieta Dymna: Ja nie znam Lublina, tylko przejeżdżałam przez Lublin. I co zauważyłam? – że jest trochę starej architektury, rzeczywiście zaniedbanej, ale wartościowe jest to, że w ogóle jest. Mieszkam w Warszawie i tam tej architektury jest bardzo mało. To, co mnie tu zaskoczyło, to pozytywna energia bardzo dużej ilości młodych ludzi – to miasto żyje. W Warszawie tego nie ma; wieczorem wszyscy idą do domu.

Jeśli chodzi o Austro-Węgry, to niedawno wróciłam z Austrii i co mogę powiedzieć: po dwóch dniach wpadłam w depresję. Powalająca jest tamtejsza ilość kiczu. Zgadza się, że domy są piękne, zachowane w pewnej architekturze i to jest bardzo cenne. Żałuję, że w Polsce jest inaczej. Ale kicz jest tam wszechobecny: nie ma drzewa, nie ma domu, na którym by coś nie wisiało; w parku potykam się o wyskakującą żabkę, krasnoludka albo wiewiórkę.

Wracając do tematu o przestrzeni publicznej – założyłam Stowarzyszenie MojeMiastoAwNim.pl i mamy pomysł na zmianę przestrzeni publicznej. Kilka lat temu zaczęłam zbierać zdjęcia z reklamami, np. znad morza. Nad polskim morzem, na plaży mija się całe stosy reklam. Mamy mnóstwo zdjęć parawanów z różnymi reklamami i od tego wyszedł pomysł. Interesuję się reklamą i zaznaczam, iż absolutnie nie zwalczamy reklam. Uważam, że są one bardzo potrzebne w mieście, trzeba tylko ograniczyć ich ilość.

Wyróżniliśmy dwa rodzaje reklam. Po pierwsze reklama legalna. Mamy obecnie pięć wielkich firm outdoorowych, które ustawiają billboardy. Te firmy działają zgodnie z prawem. A polskie prawo pozwala na wszystko. Żyjemy w miejskiej dżungli, w której nie ma żadnych reguł. Okazuje się – firmy same to przyznają – że posuwają się tak daleko, jak tylko mogą. Jeśli jedni nie wstawią tysiąca billboardów w danym miejscu, to zrobią to drudzy! Nie ma dla nich żadnej granicy, nie ma przestrzeni miejskiej, gdzie nie można czegoś postawić.

Popatrzmy na nasze miasto: są billboardy, reklamy wielkoformatowe, citylights, reklamy nadmuchiwane – i to są reklamy legalne. Do tego dochodzą reklamy nielegalne: banery, ulotki, reklamy zawieszane na drzewach, skrzynkach elektronicznych, latarniach, sygnalizacji świetlnej itp. Ponadto reklamy wysprayed na chodnikach (nawet poważnych firm), przyklejane na bramkach, w toaletach – rozchodzą się po prostu wszędzie.

Nasze pomysły na rozwiązanie tych problemów są następujące: chcemy, aby prawnie zmniejszono ilość i wielkość billboardów. Obecnie ich wielkość wynosi do 72 m kw. – i tych największych jest coraz więcej. W żadnym innym kraju Unii Europejskiej nie ma tak dużych reklam, są zabronione. Np. w Paryżu największe mają 2 m na 6 m. Chcemy też wprowadzić strefy wolne od reklam: na zabytkach, na obiektach ważnych, które turyści chcieliby np. sfotografować. Odstraszamy turystów. Przyjeżdżają i wpadają do całkowicie zaśmieconej Polski. To jest także jedna z naszych głównych tez na Euro 2012. Wszyscy mówią o budowie stadionów, autostrad, a nikt nie dostrzega tego, że zapraszamy gości do brudnego mieszkania. Stawiamy im piękny obiad, ale muszą przejść przez gigantyczny śmietnik. Dlatego polskie prawo trzeba jak najszybciej zmienić, według mnie to już jest ostatni moment na zmiany.

Następna rzecz: chcemy, aby konieczna była pisemna zgoda na ustawienie reklamy. Teraz na terenie prywatnym każdy może sobie powiesić, co tylko chce. W przypadku wielkoformatowych reklam

trzeba wysłać zgłoszenie do UM i jeżeli urząd nie odpowie w ciągu 30 dni, jest to jednoznaczne z pozwoleniem. Przy czym kara za wywieszenie billboardu bez zgody wynosi 5 tysięcy – w przypadku reklamy są to śmieszne koszty. Kolejna ważna sprawa: w przypadku reklam wielkoformatowych remont budynku musi być rzeczywisty. Jest bardzo dużo reklam, które stoją np. 10, nawet 18 lat pod pretekstem fikcyjnego remontu. Można zrobić wielkoformatową reklamę, niech dany budynek na tym zarabia, ale musi być na nią pisemna zgoda i może ona być umieszczona tylko przez ustawowo określony czas, np. na trzy miesiące.

W Warszawie Hanna Gronkiewicz-Waltz wydała zarządzenie mówiące, że reklamy wielkoformatowe będą mogły zajmować w przypadku zabytków 20 proc., a w innych przypadkach 30 proc. budynku, natomiast pozostała część ma być odwzorowaniem wyglądu tego obiektu. Według mnie to absurd, gdyż nie określono jak długo może taka reklama wisieć.

W przypadku reklam nielegalnych chcemy, aby osoby, które z nich korzystają odpowiadały za to finansowo. Można wyegzekwować to bardzo łatwo, ponieważ wiadomo kto zarabia na danej reklamie i tą osobę czy firmę należy pociągnąć do odpowiedzialności. Ale muszą to być kary na tyle wysokie, żeby zdołały wyeliminować wszechobecne nielegalne reklamy.

Mamy też pomysł na sfinansowanie działalności na rzecz przestrzeni publicznej. Można postąpić podobnie jak w przypadku kinematografii – od wszystkich mediów pobiera się 3 proc. zysku. Pieniądze te są przekazywane Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej i oni nimi rozporządzają. My moglibyśmy pobierać jakiś procent dochodów od firm outdoorowych, bo one wchodzą w naszą przestrzeń wizualną i przekazywać np. do Wydziału Estetyki lub do Urzędu Architektury, które kontrolowałyby przestrzeń publiczną. Wszystkie te pomysły są teraz opracowywane przez prawników, żeby nie było w nich luk prawnych i żeby Sejm mógł je przyjąć. Konieczne jest ustawowe, prawne uregulowanie tych kwestii.

Janusz Dołęga: Dziękuję. Myślę, że czas na wypowiedzi osób, które codziennie zmagają się z urzędnikami. A na marginesie, żałuję, że żaden przedstawiciel Urzędu Miasta nie był w stanie tutaj przybyć pomimo naszych starań. Bardzo proszę, pani Małgorzata Bielecka-Hołda.

Małgorzata Bielecka-Hołda: Kiedy słuchałam przedmówców, to przypominały mi się różne akcje, które przeprowadzaliśmy w „Gazecie”. Np. pan Jacek Zalewski mówił o osiedlu Hansenów. Nie zgodzę się tylko z tym, że to są brzydkie bloczki. Poza tym ohydnie wyglądają tam teraz pawilony, ale to przez szyldy, które je szpecą. Zrobiliśmy mały konkurs na najbrzydszy szyld w mieście. Wygrał ten z ul. Zielonej. Lublin jest zalany potworną ilością brzydkich szyldów, które nie dość, że są brzydkie same w sobie, to ponadto są nagromadzone obok siebie – to właśnie szpeci osiedle Słowackiego. Pawilony są zniszczone, bo nikt ich nie odnawia. A ohydna pstrokaczna szyldów jest jeszcze gorsza od reklam wielkoformatowych, o których pani mówiła. Mam nadzieję,

że walkę z billboardami uda się wygrać, ale walka z niezliczoną ilością szyldów jest bardzo trudna. O szyldy obijamy się w każdym miejscu. Ul. Zielona jest jedną z najpiękniejszych ulic w mieście. Są tu ładne kamienice, miasto zadbało o chodniki, itd. I tylko takie szyldy psują cały urok.

W „Gazecie” przy okazji sprawy z osiedlem Słowackiego rozpoczęliśmy debatę i dostaliśmy zobowiązanie, że specjalna komisja przygotuje listę miejsc, obiektów dwudziestowiecznych, które mają być chronione przez miasto – o starsze dba konserwator zabytków. Dzięki temu mają być one włączone do planu zagospodarowania publicznego i nie wolno będzie ich niszczyć. Co prawda trwa to już ponad rok, ale wierzę, że w końcu komisja przedstawi nam tę listę i Lublin będzie prekursorem w ochronie obiektów dwudziestowiecznych. Takich obiektów mamy niemało, np. Chatka Żaka była bardzo ciekawym budynkiem, niestety zeszpeconym.

Zgadzam się z profesorem, że Lublin to piękne miasto, które ma szpetne miejsca. Poza codziennym oszpecaniem ma on rany, na które trzeba reagować natychmiast. Taką raną jest np. Podzamcze. Tam było miasto żydowskie zniszczone przez Niemców, powstał wolny plac, więc tak go zagospodarowano. Mam nadzieję, że to się uda naprawić, ale nie wiem jak walczyć z szyldami.

Jeszcze jedna rzecz z mojego „Gazetowego” doświadczenia – plac Litewski. Profesor Bagiński ze swoimi studentami przygotował bardzo „odlotowy” projekt. Uważaliśmy, że miastu potrzeba takiego właśnie zwariowanego miejsca. Mamy bardzo ładne Stare Miasto, ale wiele miast ma podobne, a np. Opera w Sydney jest znana dlatego, że jest dziwna, Paryż ma Wieżę Eiffla i Lublinowi też potrzeba takiego swoistego obiektu.

Jacek Zalewski: Mamy Teatr w Budowie?

Małgorzata Bielecka-Holda: Owszem, który może kiedyś będzie pięknym budynkiem, oby. Ale profesor i jego studenci wymyślili, żeby ciekawe objekty ustawić na placu Litewskim. To wywołało potworne oburzenie i zgorszenie wśród mieszkańców Lublina. Teraz czytam na forum, że nic nie trzeba tam robić, tylko uporządkować zielen, tylko postawić ładną fontannę, i tylko zrobić ładne ławki. I o to chodzi, o zrozumienie, że nie jest tak, że przychodzi urzędnik i robi to, to i to – to jest właśnie najtrudniejsze w mieście. Podobnie jak zrobienie ładnych szyldów.

Janusz Dolega: Dziękuję. I proszę jeszcze o opinię pana redaktora Andrzeja Molika, który także często wypowiada się na temat estetyki miasta.

Andrzej Molik: Odnosnie miasta ekstatycznego, to marzyło mi się od dawna w Lublinie coś „odlotowego” i dziwi mnie np., że kiedy Jarek Koziara namalował *Guernicę* na ogrodzeniu placu budowy przy KUL, to komuś bardzo przeszkadzała i szybko ją zlikwidowano. A to było właśnie

ciekawe, inne.

A propos iluminacji, to cieszę się, że Wieża Trynitaraska nie jest już oświetlana jak dawniej. Było to straszne, kiczowate, kiedy górną partię oświetlono powiedzmy na pomarańczowo, niższą – na zielono, a najniższą – na niebiesko. Natomiast teraz źle oświetlony jest Ratusz, jego zwieńczenie, a jest ono w Lublinie specyficzne i warte pokazania. Tymczasem górna, miedziana partia w ogóle nie jest oświetlona; wieczorem wygląda to niekorzystnie, niespójnie, jak przypięty kadłubek.

Denerwuje mnie sytuacja, jaka miała miejsce ostatnio w Lublinie: jakiś miejski plastik zarządził wielką akcję – strasznie przeszkadzają parasole na Deptaku, mogą być tylko takie a nie inne, itp. Zgoda. Ale jest to ewidentny przykład działania pozornego. Nie widzą i nie reagują na to, co na Deptaku zostało kompletnie zepsute, a zajmują się parasolami.

Inny szczegół: straszliwie boleję – to dla mnie przykład „paskudy” powstałej za przyzwoleniem konserwatora zabytków, władz miejskich i kościelnych – że na placu katedralnym zrobiono taką „ścianę oporową”. Kto mógł pozwolić na to, by w miejscu tak szlachetnym powstał taki koszmar? Straszne, że takie paskudy są tworzone przy pełnej akceptacji władz.

Porównuję Lublin z hiszpańskim miastem Valladolid, do którego od 15 lat jeżdżę na festiwal filmowy. Ma mniej więcej tyle mieszkańców, co Lublin, ok. 400 tys. To, co się tam dokonuje, wzbudza we mnie podziw. Np. wyburza się całe wnętrze Teatru Calderon (pojemnościowo jest dwukrotnie większy od Teatru Osterwy) i robi się wnętrze supernowoczesne. Podobnie robi się w całej strukturze miejskiej – zachowuje się ściany zewnętrzne, a wewnątrz tworzy się nowoczesne mieszkania, lokale.

Wracając do placu katedralnego, zaobserwowałem przez te lata, że na pięciu głównych placach w Valladolid dokonano rzeczy, która u nas jest niewyobrażalna. Otóż zbudowano tam piękne podziemne parkingi. Czy my nie ucieklibyśmy w ten sposób od koszmaru samochodowego przy [katedrze](#)? Gdyby ktoś zdecydował, aby nie zasypywać podziemnej struktury średniowiecznej, którą tam odkryto, tylko zrobić tam właśnie podziemny parking.

PODSUMOWANIE:

Najważniejsze problemy i przykłady paskudy w Lublinie oraz propozycje rozwiązań wskazane przez panelistów:

Marcin Skrzypek:

Problemy i przykłady paskudy w Lublinie:

Źle zagospodarowana (bez sensownego zaplanowania) przestrzeń publiczna; nieuporządkowane natłoczenie billboardów.

Samochodów w mieście jest tak wiele, że wykluczają z ruchu pieszych i rowerzystów.

Niekontrolowane tworzenie parkingów również w miejscach, które powinny być „przeznaczone” przede wszystkim dla pieszych (np. place przed klatkami schodowymi, przed ważnymi obiektami, zabytkami, itp.).

Rozwiązania:

Konieczność edukacji mieszkańców na temat przestrzeni publicznej.

Ograniczenie ruchu samochodowego na rzecz pieszych i rowerzystów – również poprzez edukowanie kierowców.

Jacek Zalewski:

Problemy i przykłady paskudy w Lublinie:

Paskudę stanowią niektóre dzielnice Lublina – dwojaki rodzaj brzydoty:

Osiedle Hansenów (Słowackiego) – osiedle trwale wpisane w miejską świadomość i tożsamość, zaprojektowane przez wybitnego architekta z uszanowaniem oraz wykorzystaniem naturalnego pejzażu. Choć szpetne są tu „klocki” mieszkaniowe i handlowe, to jednak całościowo LSM jest w swej brzydocie piękny i warty ochrony.

Czechów – osiedle zbędne, jak większość billboardów i plakatów wyborczych, przydające Lublinowi wyłącznie szpetoty. Projektujący je „towarzysze” zniszczyli tamtejszą przestrzeń naturalną. Obecnie, mimo usilnych prób i działań ratunkowych, już raczej nie uda się naprawić Czechowa.

Lublin to miasto ekstatyczne (przeciwieństwo miasta ironicznego): ciągły pęd, brak poczucia humoru, skłonność do wielkich przestrzeni i do morza świateł. Lublin niepotrzebnie rozświetla się nocą, gdyż to nikomu nie służy – lublinianie stosunkowo wcześniej kładą się spać (zdaniem Jacka Zalewskiego).

Lublin jest poważny, co przejawia się w architekturze – brakuje obiektów szalonych, innych (poza ekstrawaganckim Teatrem w Budowie, który po ewentualnym zakończeniu budowy powinien

zachować obecną nazwę i jakiś element przypominający jego historię, np. kilka wystających drutów czy fragment zachlapanej cementem ściany). Lublin nie ma dystansu do siebie i dlatego jest nudny.

Brakuje ławek, miejsc, w których można usiąść – to też cecha miasta w ekstazie – skoro wciąż gna, to po co siedzieć? – pyta Jacek Zalewski

Rozwiązania:

Zdystansowanie do lubelskiej architektury i poczucie humoru wyrażone w nowych obiektach.

Dobrosław Bagiński:

Problemy i przykłady paskudy w Lublinie:

Lublin w sensie zachowania skali jest przepiękny, ale stale, regularnie oszpecany (choć to co jest brzydkie w Lublinie, jest brzydkie w całej Polsce).

Lublin, jak cała Polska, stał się „bazarem Europy”. Dręczy nas dyfteryt, choroba „bazar” – jedno zakrzykuje drugie i w efekcie nie widać ani nie słyszać nic.

Rozwiązania:

Potrzeba walki z wadami Polaków, z egoizmem – nasza przestrzeń prywatna nie może szpecić wspólnej przestrzeni, przestrzeni publicznej; każdy nowy obiekt powinien wpisywać się w kontekst przestrzenny i kulturowy.

Elżbieta Dymna:

Problemy i przykłady paskudy:

Miasto szpecą stopy reklam: reklamy legalne (billboardy, reklamy wielkoformatowe, citylights, reklamy nadmuchiwane) i ogrom reklam nielegalnych (ulotki, banery, reklamy rozwieszane na drzewach, latarniach, na bramkach, w toaletach, reklamy sprayowane na chodnikach, itd.).

Firmy outdoorowe umieszczają billboardy na różnych obiektach, także na zabytkach, pod pretekstem remontu. Takie reklamy wiszą nawet latami, a remont nierzadko okazuje się fikcyjny [to problem Warszawy, czy w Lublinie jest podobnie?].

Prawo w Polsce nie chroni przestrzeni publicznej; można wszystko na terenie prywatnym, który jednak zawłaszcza naszą przestrzeń publiczną.

Nakładane są zbyt małe kary za reklamy nielegalne – 5 tys. zł – to kwota wpisywana w koszty przez twórców reklam; takie sumy nie odstraszą i nie stanowią kary.

Turyści przyjeżdżający do Polski muszą przebijać się przez gigantyczny śmietnik nieuporządkowanych reklam, a w perspektywie: Euro 2012.

Rozwiązania:

Pomysły Stowarzyszenia MojeMiastoAwNim.pl:

- prawne, ustawowe ograniczenie ilości, wielkości i czasu „prezentacji” reklam wielkoformatowych (w Polsce – 72m kw., w Paryżu – 2 m na 6 m);
- strefy wolne od reklam – m.in. zabytki, obiekty atrakcyjne turystycznie;
- konieczność pisemnej zgody na ustawienie reklamy;
- reklamy wielkoformatowe na budynkach rzeczywiście remontowanych i tylko na czas określony (np. 3 miesiące);
- w przypadku reklam nielegalnych nakładanie wysokich, odczuwalnych kar na ludzi, którzy na nich zarabiają;
- finansowanie instytucji dbających o przestrzeń publiczną w podobny sposób jak w przypadku kinematografii: firmy outdoorowe, wkraczające w naszą przestrzeń wizualną odprowadzałyby jakiś procent (1, 3 czy 6 proc.) ze swoich dochodów do stosownej instytucji, tj. np. Wydział Estetyki czy Urząd Architektury, która kontrolowałaby to, co dzieje się w przestrzeni publicznej.

Małgorzata Bielecka-Holda:

Problemy i przykłady paskudy w Lublinie:

Paskudę Lublina stanowią szyldy na budynkach, kamienicach, pawilonach handlowych – ich pstrokaczna i nagromadzenie potęguje wrażenie bałaganu. Bardzo trudna jest walka z brzydkimi, wszechobecnymi szyldami.

Obiekty dwudziestowieczne, pierwotnie często atrakcyjne architektonicznie, są niszczone przez rozbudowy, nadbudowy, itp.

Lublin ma rany, które trzeba leczyć natychmiast, np. [Podzamcze](#): okolice [Zamku](#), [Stare Miasto](#), dworzec autobusowy, koszmarny bazar – to wielka rana i paskuda Lublina. Plac Litewski jest nieciekawym i zaniedbanym. Ale Lublinianie oburzyli się np. na zwariowany projekt profesora Bagińskiego i jego studentów.

Rozwiązania:

Odnawianie zaniedbanych budynków, także pawilonów handlowych.

Stworzenie „listy” obiektów dwudziestowiecznych, których nie wolno będzie niszczyć, przebudowywać, szpeciść (od ponad roku taka lista jest tworzona, wciąż nie wiadomo kiedy zostanie stworzona) – Lublin byłby prekursorem w ochronie budynków dwudziestowiecznych.

Mądre, ciekawe zagospodarowanie Podzamcza, placu Litewskiego.

Stworzenie obiektu/ów charakterystycznych tylko dla Lublina.

Andrzej MOLIK:

Problemy i przykłady paskudy w Lublinie:

Lublin nie pozwala sobie na nic nowego, nietypowego, szalonego (np. z ogrodzenia KUL-u szybko usunięto *Guernicę* namalowaną tam przez Jarosława Koziarę).

Nieatrakcyjne, niesprzyjające jest oświetlenie np. oryginalnego lubelskiego Ratusza – nie iluminuje się jego górnej, miedzianej partii, co powoduje, że wieczorem wygląda on niespójnie, brzydko.

Koszmar samochodowy przed katedrą.

Rozwiązania:

Iluminacja miasta – podkreślać to, co oryginalne, nie wytwarzać efektu kiczu.

Budowa parkingów podziemnych, np. pod katedrą.

Opracowała Elżbieta Zasempa